

POLITYKA
DELEGACJI GALICYJSKIEJ

PRZEDSTAWIONA

PRZEZ

PROF. LUDWIKA WOLSKIEGO.

Wydawnictwo

L W Ó W.
KSIĘGARNIA POLSKA.
1880.



17287

SPRAWOZDANIE POSELSKIE

D^{RA} LUDWIKA WOLSKIEGO.

Szanowni Wyborcy!

Nie wiedząc kiedy mi się zdarzy sposobność osobistego zetknięcia się z Wami, uważam za obowiązek, złożyć Wam, szanowni Wyborcy piśmienne na razie sprawozdanie, a to nie tylko z własnych moich czynności poselskich, lecz także, a nawet przede wszystkim z rozwoju wypadków, które na polską akcję parlamentarną w czasie ubiegłej kampanii rajchsratowej wpływały. Pogląd mój na te wypadki motywuje zarazem moje wobec nich zachowanie.

Już przy schyłku poprzedniej kadencji mnożyły się oznaki, że piękne dni stronnictwa wiernokonstytucyjnego się skończyły. Nie odpowiedziało ono nadziejom, które zrazu u zwolenników swoich budziło, przestało być popieraczem obywatelskich swobód, straciło przewodnią ideę, ducha inicyjatywy, płodność i wiarę w siebie, stało się zbiorowiskiem nie mężów stanu, lecz retorów i sekciarzy, wierzących już tylko na pół w dawne doktryny.

Widząc niemoc swoich wybrańców i jałowość ich działania, ludność stojąca dotąd za stronnictwem wiernokonstytucyjnym po części odstręczyła się od niego, a po części nie dała mu przy nowych wyborach dość gorącego poparcia. Gdy nadto w niektórych wielkich kurjach wyborczych weszły w grę czynniki na dynastyczne uczucia wyborców przeważny wpływ wywierające, przeto przy otwarciu nowej rady państwa i po przybyciu Czechów, okazało się,

że wiernokonstytucyjni stanowią trochę mniej niż połowę izby i że każdej danej kwestji większość będzie chwiejna, od kilku lub co najwięcej kilkunastu głosów zależna.

Wobec tej izby stanął hr. Taaffe z ponawianiem wielokrotnie oświadczeniem, że rząd jego po za stronnictwami, po nad stronnictwami stoi i stać zamierza. Oświadczenie to nie odpowiadało wprawdzie doktrynie konstytucyjnej i formułom z zagranicznej praktyki parlamentarnej zapożyczonym, odpowiadało natomiast — mojem przynajmniej przekonaniem — względowi dla austriackiego ministra najważniejszemu, bo interesowi Austrii i warunkom jej bytu. W takiej Anglii może władza bez szkody dla kraju przechodzić jak piłka od wigów do torysów, od torysów do wigów — w Austrii byłoby to eksperymentem zbyt niebezpiecznym. Nie tyle polityczną cechę mają tu stronnictwa, ile narodową i prawnokonstytucyjną. Państwo wielojęzyczne, klęskami skolatane, na wieczny niedobór chorujące, jawnymi zewsząd wrogami lub niebezpieczniejszymi od nich fałszywymi przyjaciółmi otoczone, nie mogłoby na długo się ostać, gdyby podwaliny jego bytu były wciąż kwestjonowane, gdyby się chwiało ustawicznie między federacją a centralizacją, między hegemonją Niemców a hegemonją Słowian. Jeżeli gdzie, to tutaj wszelka ostateczność jest zgubną: zyskując poklask jednych, wywołuje w drugich niechęć i rozdrażnienie, a nawet odstręcza ich od państwowej idei i kieruje ich oczy ku pobratymcom po za granicami monarchii mieszkającym. Dla tego maż stanu rzeczywiście Austrii sprzyjający nie powinien w żaden rzucić się ekstrem, lecz mieć oczy otwarte na faktyczne stosunki, wymierzać sprawiedliwość na prawo i na lewo, uśmierzać na-

miętności, godzić, jednoczyć, czyli innemi słowy stać po nad stronnictwami.

Taką była misja hr. Taaffego w rządzie, taką też misja Polaków w parlamencie. Rozporządzając sześćdziesięcioma prawie głosami, mogli się stać panami sytuacji, szafarzami sprawiedliwości, hamulcem niewczesnych lub zbyt daleko idących zapędów, istnymi dobroczyńcami tej, na której im tyle zależy, Austrii. Zbliżeni do rządu tożsamością celu, a przynajmniej metody i trzymając przy składzie Izby losy jego w swem ręku, mogli zawrzeć z nim jasne, korzystne *pacta conventa*, w parlamencie zaś postępować sobie tak, że byłby ich otoczył szacunek wszystkich, że ubiegano by się ze wszech stron o przyjaźń ich, o poparcie.

Jeżeli komu, to Polakom była ta misja łatwą i że tak powiem, opatrnościowo wskazaną. Odłam wielkiego narodu nie potrzebował, a nawet nie powinien był solidaryzować się z żadnem z austriackich stronnictw, nie potrzebował brać na siebie cudzych grzechów i ekstrawagancji i nadstawiać karku dla haseł sumieniu politycznemu Polaka, jeśli nie wstrętnych, to mniej więcej obojętnych i obcych. Wszystko wołało na nas: nie dajcie się wiecznie wyzyskiwać innym, zacznijcie raz myśleć o sobie i zanim wdacie się w walkę na zabój, rozważcie, czy też wymaga tego własny wasz interes, czy i jakie ztąd kraj może odnieść korzyści!

Wszystko to widziała jasno lub czuła instynktownie przeważna większość Koła polskiego. Pojmowała ona przy początku kadencji misję Polaków jako pośredniczącą, pojednawczą, od wszelkich skrajności daleką; nie miała zamiaru ani rozpocząć z lewicą walki na zabój, ani identyfikować się bazwarunkowo z dwoma innemi

stronnictwami, po prawicy zasiadającymi. Kto inaczej myślał, milczał. Przeszła wprawdzie w Kole większością głosów uchwała, aby wybrać komisję „do porozumienia się z klubami prawicy,” ale uchwała ta nie miała w sobie nic zasadniczego. Sami wnioskodawcy unikali starannie programowych wywodów i starali się wykazać, że proponowana przez nich uchwała niczemu nie przesądza, ponieważ komisja będzie musiała ze wszystkim odnosić się do Koła, a zatem to ostatnie będzie zawsze wolną mieć rękę.

Odpowiednio temu występowała też z razu delegacja galicyjska i na zewnątrz. Szła ona z klubami prawicy tylko o tyle, że układała wraz z nimi wspólną listę członków do komisji wybrać się mających; Izba wszelako nie dzieliła się jeszcze na dwa wrogie obozy, w specjalnych kwestiach grupowała się większość raz tak, a raz inaczej, w niektórych komisjach, a mianowicie w legitymacyjnej wyrobiła się nawet stała większość z Polaków i członków lewicy złożona.

Nieodżałowana szkoda, że idąc tą drogą, Koło polskie nie zdało sobie jasnej sprawy z położenia i mimo wszelkich usiłowań pojedynczych posłów, nie sformułowało wyraźnego programu. Bez jasno wytkniętych celów, bez przewodniej myśli, a tem mniej inicjatywy, nie patrząc nigdy dalej niż chwilowa wymagała potrzeba, mogliśmy łatwo zbłąkać się, a w każdym razie nie mogli zejść daleko. Dopóki wszelako kierowaliśmy się instynktem, nie uронiliśmy niczego, nie przesadzili niczemu, a nawet mogli zaznaczyć niejaki na polu politycznem powodzenia. Przy sprawdzeniu włościańskich wyborów z Galicji stanęła lewica po naszej stronie, przemawiała przez usta należącego do niej referenta gorąco i skutecznie za ważnością wyborów

i z wyjątkiem Kronawettera i trzech czy czterech „dzikich,” odstąpiła długoletnich swych sprzymierzeńców, Rusinów. Z drugiej strony też sama lewica, nie widząc przed sobą skierowanej przeciw niej koalicji, zaczęła pod wpływem zręcznej z razu akcji hr. Taaffego rozpadać się i rozpadła ostatecznie przy głosowaniu nad ustawą wojkową, rozpadła się tak, że między dwoma jej odłamami powstała przepaść na pozór nieprzebyta.

Postarano się jednak o zapełnienie tej przepaści: postarano się o to tak zwane stronnictwo prawa, stawiając za przewodnem księcia Liechtensteina znany w przedmiocie szkół wniosek; postarali się Polacy, uchwalając, że w pierwszym czytaniu za wnioskiem tym będą głosować.

Jakie wrażenie wywołało poruszenie tego przedmiotu i jak ogromną przypisywano mu doniosłość, o tem może sądzić tylko ten, kto był podówczas we Wiedniu i obrał się w kołach poselskich. Przyjaciół czy nieprzyjaciół, każdy widział jasno, że wszystkie we wniosku Liechtensteina jest tylko okrasa głównej myśli i że myśl ta, skierowana rzekomo ku zaspokojeniu w szkołach tak zwanych „religijnych potrzeb ludności”, zdąża właściwie do powrócenia duchowieństwu nadzoru i władzy nad ludowymi szkołami. I cóż na to Polacy? Pomimo nauk swej historii i wolnomyślnych przekonań, o jakie ich jeszcze czasami pomawiają, pomimo autonomistycznej zasady odmawiającej Radzie państwa kompetencji w sprawach szkół ludowych, pomimo fatalnych wspomnień z czasów, w których szkoły wschodnio-galicyjskie zostawały pod nadzorem ruskich konsystorzów, postanowiła większość posłów naszych odesłać wniosek do komisji, to jest, zrobić wszystko, co w interesie sprawy przez Liechtensteina poruszo-

nej na razie zrobić mogła. Prawda, że krok taki nie przesądza jeszcze w zwykłych okolicznościach dalszemu zachowaniu się wobec wniosku; kto jednak w kwestji zasadniczej unika merytorycznego zaimplementowania się, kto nie korzysta ze sposobności umorzenia rzeczy ed razu, ten nie uważa jej widocznie za niebezpieczną i przynajmniej na pozór z nią się solidaryzuje. A wszakże pozory w polityce to czasem tyle, czasem nawet więcej niż rzeczywistość!...

Wniosek Liechtensteina i sprzyjające mu uchwały polskiego i czeskiego klubu poruszyły do głębi lewicę i speły napowrót rozpadły jej frakcje. W prawdzie prawica zagrożona abstencją wielu polskich i czeskich posłów i oświadczeniem Młodo-Czechów, że mimo uchwały klubu przeciw wnioskowi głosować a nawet przemawiać będą, zwątpiła o tem czy będzie w większości i przynagliła Liechtensteina do cofnięcia wniosku, fatalne jednak skutki błędu pozostały. Osiągnięte rezultaty zmarnowane, stronnictwo wierne konstytucyjnie napowrót zjednoczone, Polacy obciążeni zarzutem, że sprzymierzają się z reakcją i gotowi jej służyć za narzędzie...

Wszedłszy raz na pochyłość, zsuwalismy się po niej coraz to dalej. Czy posłowie, należący do parlamentarnej naszej komisji, wiedzieli dokąd idą, o tem tylko oni sami mogliby powiedzieć; reszta Koła nie miała o tem pojęcia. Siedliśmy po prostu do nawy i powierzyli się na długą po oceanie podróż sternikom, nie dawszy im ani bussoli, ani nie powiedziawszy, dokąd nas mają prowadzić. Gdybyż choć sami sternicy byli nam przedłożyli program podróży, ale nie! ile razy kto ośmielił się wspomnieć o programie, odzywał się zaraz

najstarszy sternik (dosłownie), że jest „nieprzyjacielem wszelkich programów“...

W ten sposób cała nasza polityka stała się kwestją zaufania do kilku osób, niezawodnie najzacieśniej i najlepszymi przejętymi chęciami, ale bądź co bądź mogących się mylić. Nie znając całości każdorazowego położenia, musiało Koło w każdej danej kwestji iść za zdaniem tych, którzy jedynie wszystko mogli wiedzieć i którzy, jeśli dają jaką radę, muszą mieć powody, dla których ją dają. Cóż ztąd, że powody do wiadomości Koła podane były często wielce niedostateczne? czyż to dowodzi, że nie ma innych, tajnych, tem ważniejszych właśnie, iż muszą pozostać tajnymi? Nie paraliżujmy więc — rozumowano sobie — akcji naszych mężów zaufania i nie mieszejmy im szyków; jeśliby nawet rzeczywiście wprowadzali nas w labirynt, to nie wyprowadzi nas z niego nikt, chyba znówu oni. Czyż może kto inny, nie mający nici przewodniczej, ośmieli się sięgnąć po kierownictwo?

Takim tedy sposobem Koło polskie zachowało wszechwładztwo jedynie formalne, nominalne, podczas gdy w rzeczywistości kierunek polityki przeszedł w ręce oligarchów. Koło było jedynie potrzebne, aby sankcjonować to, czego chcieli przewodnicy i rzucać wagę pięćdziesięciu kilku głosów na szalę każdym razem wskazaną. Czuli to dobrze nawet ci, których do opozycji nie zaliczano; wielka część ich nie kryła się z tem, że jest do głębi duszy skwaszona, zniechęcona, upokorzona. Zgodnem, nie tylko mojem, lecz wielu kolegów obliczeniem, malkontenci w Kole stanowili prawie połowę jego członków, a jednak — rzecz napozór nie do uwierzenia — było prostem niepodobieństwem skupić bodaj małą częśćkę tych niezado-

wolnionych celem rozpoczęcia zaradczej akcji. Z jednej strony nawyknienie do ciągłego *sacrificio del' intelletto* i duszna atmosfera Koła żadnym nowi-
wem zasadniczej myśli nieodświeżana, z drugiej brak zorganizowanego postępowego stronnictwa, brak ustalonej opinii publicznej, świadomość, że kraj na budzących go mężów czynu ze zdziwieniem spogląda i niechęcią — wszystko to mroziło ludzi dalej patrzących i wprowadzało ich w kwietyzm, w apatyczną prostrację. Stało się, jakem już na jednym z pierwszych posiedzeń Koła (przy dyskusji adresowej) przepowiedział, że jeśli rzeczy pójdą dalej torem na jaki je wprowadzono, „Koło polskie będzie karne, solidarne, lecz martwe *tamquam cadaver*“...

Co tymczasem działo się po za kulisami, co poczyniała wszechwładna komisja pięciu, jaka była racja polityczna jej czynności i logiczna tychże zasada, o tem zwykły śmiertelnik dobrze wiedzieć nie może. Od czasu do czasu kazano nam wprowadzić ślubować tajemnicę i podawano jakieś okruciny misterjów; gdy jednak usta rewelatora się zamknęły, musiał każdy mimowoli się zapytać, czegośmy właściwie się dowiedzieli, skoro wszystko co nam powiedziano albo już było w gazetach albo najłatwiej w świecie dało się wykombinować. Jedna jest tylko rzecz pewna a to, że polska komisja pięciu przestając ciągle i że tak powiem *spiskując* z podobnemi komisjami dwu innych klubów prawicy, nie zdołała oprzeć się koniecznemu takiego spiskowania wpływowi, że uległa urokowi tak potężnych jak hr. Hohenwart i hr. Clam osobistości i coraz to więcej z nimi się solidaryzowała, coraz bardziej swą samoistność traciła. Rzadko już mówiono o komisji pięciu, a natomiast w ustach wszystkich pojawiała się coraz częstsza

wzmianka o jakiejś komisji piętnastu, o jej naradach, uchwałach i zbiorowych krokach, pomimo że koło nie desygnowało nigdy członków do takiej komisji lecz wybrancom swoim wyraźnie poleciło, aby jako odrębna całość z innemi także odrębnymi czynnikami się porozumiewali.

Cóż jednak pomogły protesta przeciw prawnemu istnieniu komisji piętnastu, skoro taż faktycznie istniała i całem zawładnęła położeniem? Stała się ona wyrazem, objawem, dowodem zsolidaryzowania się Polaków z dwoma innemi stronnictwami po prawicy zasiadającemi, zsolidaryzowania, którego Koło polskie nigdy nie uchwaliło, którego potrzeby i następstw nigdy nie rozebrało. Fakt dokonany zapanował nad wszystkim, zapanował do tego stopnia, że nawet posłowie najżywiej nad nim ubolewający, a w rzędzie ich podpisany, musieli sobie wreszcie powiedzieć: „Stało się, ze stronnictwa zeszlismy na frakcję stronnictwa i pozostać nią, niestety musimy!”

Kładąc jednak krzyżyk na to, co odrobić się nie dało, podnosiło kilku członków Koła, a między nimi wasz poseł, potrzebę, aby związek nasz z tamtymi klubami oprzeć przecież na jakiejś podstawie, aby sformułować punkta przymierza i ułożyć się, do jakiego stopnia i co do jakich postulatów winniśmy tamtych panów popierać, i jak daleko znów oni winni iść z nami. Na nieszczęście zakrawało to na rodzaj programu, a wstręt do programów, to przecież nasza starodawna galicyjska choroba. Ułożyć program, znaczy: zdać sobie sprawę z tego, czego się chce a czego nie chce, a my nie lubimy zdawać sobie sprawy z niczego. Ułożyć program, znaczy: zobowiązać się na przyszłość, a my wolimy iść za natchnieniem, i co chwila coś nowego improwizować. Ułożyć wresz-

cie program, znaczy: dać wybrańcom naszym pełnomocnictwo od początku do końca wypełnione, a pełnomocnicy ci wolą blankiet z okienkami. Jeżeli wolą, to dla czegoż nie dać im go? czyż nie poczciwi. nie zacni? czyż nie znamy ich od tak dawna? Daliśmy więc blankiet i zaczęto nas wlec, nie tam gdzie kazał nasz interes z ideą polską zgodny, lecz gdzie pp. Clamom i Hohenwartom było dogodnie....

Nie myślcie, szanowni wyborcy, że z przyjemnością wszystko to piszę. Wiem dobrze, że mówieniem prawdy nikogo się nie zobowiąże, że nierównie wygodniej i bezpieczniej, a nawet korzystniej zaciągnąć się do bractwa wzajemnej admiracji i popierać chwilowe bożyszcza. Chwalić ludzi głośno a drwić z nich po cichu, to najpewniejsza recepta na zyskanie ich miłości — czyń inaczej, a czeka cię osamotnienie i nienawiść. A przecież, choćby namiętniejsze niż kiedykolwiek miały mnie spotkać pociski, nie wykreślę nic z tego com napisał, bom pisał za dyktatem potęg, z którymi nie ma kompromisu, za dyktatem sumienia i przekonania. Owoż sumienie i przekonanie każe mi powtórzyć, że nie bacznie daliśmy używać się za narzędzie, że wysługi waliśmy się innym, i że prócz moralnej ujmy, wynikły ztąd szkody i niebezpieczeństwa, o których nie wiem, czy w całej pełni dadzą się kiedy uchylić.

O szkodach tych i niebezpieczeństwach — przynajmniej ważniejszych — wspomnę na innym miejscu; tutaj zaznaczę tylko, że w skutek bezwarunkowego zespolenia się Polaków z prawicą nie było w Izbie nikogo, ktoby popierał dzieło pojednania przez rząd, a nawet przez koronę zamierzone. Na jakiś czas przed rozpoczęciem dyskusji

budżetowej gratulował cesarz dr. Smolce — jak zgodnie wszystkie doniosły były dzienniki — że posłowie polscy zajęli pośredniczące, pojednawcze między stronnictwami stanowisko, Polacy iednak jakby w odpowiedzi na to, zchodzą z tego stanowiska, stają w zwartym szeregu do walki z całą jedną połową Izby i utrudniają, paraliżują akcję hr. Taaffemu poruczoną...

Jakby tego było nie dosyć, zaczyna komisja piętnastu przeciw na hr. Taaffego, aby uzupełnił swój gabinet w kierunku prawicy, przyczem Polacy, rycerscy jak zawsze i bezinteresowni, oświadczają, że dla siebie żadnej teki nie pragną. Hr. Taaffe czyni wprawdzie zadość negatywnemu życzeniu Polaków, nie chcąc jednak porzucić „koalicyjnej“ polityki, nie uwzględnia żądań prawicy i kompletuje swój gabinet jak może, mając atoli ręce związane, czyni wybór, którym stanowisko swoje wobec wszystkich osłabia. Z jednej strony wiernokonstytucyjni natrząsają się z nowych ministrów jako ludzi niedorastających swemu zadaniu, z drugiej klub Hohenwarta oburzony, że go nie dopuszczają do władzy, oburzony do tego stopnia, że gorętsi chcą zaraz walić rząd, a w końcu (jakośmy profani później się dowiedzieli) oświadczają, iż jakiegokolwiekby ztąd wynikły konsekwencje — za funduszem dyspozycyjnym głosić nie będą. Co do Polaków, nie idą oni wprawdzie tak daleko, lecz przecież głośną swojego czasu klubową uchwałą manifestują, że z ministerstwa niezadowoleni. Były niezawodnie i słuszne powody niezadowolnienia, kto wszelako zna cały przebieg dwudniowej dyskusji nad przedmiotem tym w Kole prowadzonej, ten po gruntownem zastanowieniu się musi dojść do przekonania, iż impuls do ma-

nifestacji zalecał do Koła z wiatrem od klubu Hohenwarta wiejącym.

A przecież — z przyjemnością podnieść to muszę — nie zatraciło się w Kole polskiem co najmniej do rozpoczęcia obrad budżetowych owo, o którym już wspomniałem, instynktowe poczucie, czego sytuacja, czego nasz interes wymaga. Nie objawiało się to z przyczyn w swoim miejscu wspomnianych w żadnej właściwej akcji, było wszelako tak widocznem, że przewodniczący w dwu czy trzech przemówieniach skonstatował wyraźnie, iż większa część Koła — do której sam siebie nie zaliczał — nie życzy sobie ministerstwa z prawicy, a nawet prawie tyle go się obawia co gabinetu z przeciwnej (lewej) strony. I zaprawdę bardzo słuszną to, bardzo uzasadnioną obawą. Wszakżeż wobec należących do prawicy żywiołów, rząd z niej samej złożony, nietylko groził zbliżeniem się do Moskwy, nietylko otwierał wrota reakcji, lecz (chcąc być wiernym sobie) musiałby urządzić stosunki narodowościowe w Galicji inaczej niż są obecnie urządzone, a zarazem oburzając całą dziewięciomiljonową ludność niemiecką z wyjątkiem klerykałów, dałby hasło do walki, która, jak dwie dawniejsze próby okazały, skończyłaby się wcześniej lub później zwycięstwem lewicy, represjami tejsze i zaprowadzeniem takich w konstytucji zmian, aby nowy przewrót jeśli nie niepodobnym, to przynajmniej jeszcze stał się trudniejszym. Ministerstwo prawicy dziś — znaczy tyle co ministerstwo lewicy jutro; nie chcąc ostatniego, nie mogliśmy i pierwszego sobie życzyć.

Wszystko to jednak poszło nagle w zapomnienie w skutek wypadku, po którym skończyło się rozumowanie, a nastąpiła era namiętności. Gorętsi Hohenwartczycy spełnili co zapowiedzieli i

nie głosowali za funduszem dyspozycyjnym, pewna liczba Polaków częścią nieobecnych, częścią zaś po za Izbą zatrzymanych i o głosowaniu nieuprzedzonych nie przybyła również na posiedzenie* i fundusz dyspozycyjny... upadł. Tryumf lewicy nad tem zwycięstwem odebrał nam przytomność: zamiast rozważyć czy jest rzeczą rozsądną wiązać los kraju z losem tak chwiejnej większości, wzięliśmy na kiel, zacięli się i postanowili udowadniać Niemcom na każdym kroku, że jesteśmy większością. Tu już trójca po prawicy stała się nierozważalną, komisja piętnastu była prawie w permanencji, co chwila rozlegała się po ławach poselskich zgodna w różnych językach komenda. Cokolwiek pochodziło z tamtej strony, musiało być bądź co bądź odrzucone, choćby nie szło o nic więcej jak o zamknięcie posiedzenia, które już pięć czy sześć godzin trwało i całą Izbę śmiertelnie znużyło. Rozumie się, że odrzuciwszy wniosek Niemców, my sami, upadając także ze znużenia, nie czekali i kwadransa, aby posiedzenie zamknąć, lecz stało się to za naszą a nie za ich wolą. Niech Niemiec wie i czuje, że my w większości!

Czy może tam, gdzie szło o wspólny całej ludności interes, czy choć tam zbliżały się stronnictwa i miały jakieś nie dla siebie lecz dla rzeczy wyrozumienie? Nie, i tam było wszystko walką i szorstką negacją każdej myśli, która wyszła z przeciwnego obozu. Oto charakterystyczny przykład: Przy obradach nad taksą wojskową, proponował poseł Fux z lewicy jakąś poprawkę, nad którą miano imiennie głosować. Słyszając rozlegającą się komendę, według której mieliśmy mówić

*) Wiadomo, że do rzędu tych ostatnich i ja należałem.

„Nie“ a nie dosłyszawszy wraz z sąsiadami moimi treści poprawki, opuszczam miejsce, obchodzę polskie ławki, pytam się przynajmniej 10ciu kolegów, pytam wszystkich których dostrzegłem członków komisji parlamentarnej, a nikt, absolutnie nikt nie umiał mnie oświecić, co właściwie proponuje Fux; każdy odpowiadał: „Nie wiem, ale mniejsza o to, wniosek pochodzi z tamtąd, polityka każe przeciw niemu głosować...“ Tak jest, do tego doszła nasza „polityka,“ tak pojmowaliśmy pod koniec kadencji misję naszą pośredniczącą, pojednawczą!

Jedna tylko w tym smutnym okresie była chwila, o której z przyjemnością wspomnieć mogę. Myślę tu o chwili, w której oddaliśmy taką na jaką nas stać było przysługę bratniemu narodowi, który zarówno z nami ssał pierś zachodniej cywilizacji i zarówno z nami po chlubnych dla niej zasługach, obcej uległ przemocy. Naród ten, z którego więcej jeszcze może niż z nas krwi wytoczono, który po dwuwiekowej śmiertelnej niemocy zmarł, twychwstał jak Feniks z popiołów, a którego gorącym przyjacielem byłem — jak świadczą sprawozdania ze zgromadzeń przedwyborczych roku 1869 — już wtedy, gdy to nie było jeszcze u nas w modzie, naród ten uzyskał za naszą pomocą wstępne warunki kształcenia się w swoim języku. Użyczając mu poparcia, uczyniliśmy zadość potrzebie serca, a zarazem postąpili zgodnie z dziejową polską ideą i zostali wiernymi rozjemczemu w izbie stanowisku, polegającemu właśnie na tem, aby każdemu wymierzać sprawiedliwość i wszelkie odpiierać uroszczenia. Sami nawet posłowie z lewicy przyznawali prywatnie, że nie mogliśmy postąpić sobie inaczej...

Na nieszczęście nie można tego powiedzieć o głosowaniu Polaków w sporze czysto niemieckim,

w sprawie uznania wyższo-austriackich wyborów. Prawnej strony tego sporu nie będę tu rozbiegał, gdyż potrzebaby na to osobnej długiej dysertacji: wystarczy powiedzieć, że zdania nie tylko w ogóle ale i między prawnikami były bardzo podzielone, i że (nawet w Koło polskiem) byli tacy, którym wybory wydawały się nielegalnymi a którzy przecież uznać je radzili, równie jak na odwrót tacy, którzy legalność za niewątpliwą mieli, lecz w interesie stronnictwa za unieważnieniem aktu się oświadcza. Nie bądźmy zresztą hipokrytami i przyznajmy, że ani dla jednej ani dla drugiej strony względ prawny nie był decydującym i że głosowano „za“ lub „przeciw“ nie z prawnych lecz z politycznych pobudek. Jeśli mianowicie większość Koła polskiego uchwaliła głosować za unieważnieniem, jeśli odrzuciła nawet wniosek, aby przedmiotu tego przy samym końcu kadencji nie dyskutować, lecz do jesiennej sesji go odłożyć, to uczyniła to dla tego, że unieważnienie wyborów było w interesie nierozzerwalnego z klubem Hohenwartowskim przymierza.

Dla takich to (jak się przewodniczący Koła trafnie wyraził) „względów politycznych chwilowych“ spuszczone z oka przyszłość i narażono sobie śmiertelnie stronnictwo, które — jak powyżej wspominałem — z naszymi wyborami bardzo względnie i życzliwie się obeszło, i które prócz nielicznych tu i owdzie chłopskich okręgów i części feudalnej szlachty, najliczniejszy, najbogatszy i najświatlejszy w Cisłitawji naród reprezentuje. Temu to stronnictwu, będącemu tak długo u steru i mogącemu łatwo znowu przyjść do władzy a posiadającemu nawet w obecnej izbie przeszło sto pięćdziesiąt krzeseł, wydarliśmy czyli raczej usiłowaliśmy wydrzeć i to nie dla siebie lecz dla niebez-

piecznych z innego powodu sprzymierzeńców, krzesł trzy, całych trzy!

Mógłbym tu przytoczyć zdanie Machiawela o politykach drażniących przeciwnika, którego zniszczyć nie mogą, lecz pominę je jako niedość grzeczne, zwłaszcza, że my po staremu brzydzimy się Machiawelem i machjawelizmem i własną swoją mamy politykę. „Nie da się zaprzeczyć — powiedział dosłownie przewodniczący Koła, bez żądania, aby to zostało w sekrecie — że głosowaniem naszym centralistów rozdrażnimy, nie wątpię także, że przyjdą oni swojego czasu do władzy i że gnębić nas będą, ale i bez tego gnębiliby nas, gdyż ich charakter, tradycja i interes tego wymaga“.

Cóż na to odpowiedzieć? Nie myślę oczywiście ani utrzymywać, aby centraliści i w ogóle Niemcy gołębią, mieli naturę, ani też zaprzeczać, żeśmy w przeszłości i to ciężkich krzywd od nich doznali, ale z tego nie wynika jeszcze, abyśmy uwieczniali walkę z nimi i wywoływali ją, gdy przycichła. Nie wynika ztąd także, aby, czy to indywidualna, czy narody były niezdolne wyrzec się zamiarów, o których płonności się przekonały. Owoż porozumujmy trochę w tym przedmiecie:

— Czy — pytam — nie germanizowano nas prawie przez sto lat, zalewając kraj rojami przybylców, wywołując nasz język ze sądów i urzędów, ucząc dzieci nasze nawet pacierza po niemiecku?

Tak jest, germanizowano.

— A czyśmy dali się zgermanizować?

Nie, owszem polonizowali najczęściej już w pierwszym pokoleniu dzieci germanizatorów.

— A czyż — pytam dalej — czy dziś przy życiu konstytucyjnem, przy rękojmiach danych

przeciw gwałtom, przy rozwiniętej literaturze i potężnej opinii publicznej germanizacja naszego kraju jest możliwą?

Niemożliwsza niż kiedykolwiek, chyba byśmy dobrowolnie się zniemczyli.

— Może jednak choćby jakaś milka kwadratowa ma u nas ludność niemiecką?

Nie, zaledwo tu i ówdzie znajduje się jaki Niemiec.

— Czyż w obec tego mają Niemcy jakiś swój narodowy interes w Galicji do strzeżenia?

Nie, nie mają.

Owóż powiedźcie, szanowni Wyborcy, czy nie byłoby śmiesznością myśleć, jakobyśmy sami jedni byli zdolni uznać tak proste, tak namacalne prawdy. Wcześniej lub później muszą i Niemcy przekonać się o tem, co dla nas od dawna jest jasnem i wyrzec się swoich ku Galicji zapędów, tak, jak się np. zapędów ku Węgrom wyrzekli, a to nie z dobroci serca, nie pod wpływem szlachetnego porywu, lecz z pobudki dającej większą rękojmię trwałości, bo z ugruntowanego na doświadczeniu przekonania, że kuszą się o rzecz niepodobną, że niczego nie dopną i tylko sobie samym szkodzą, trudności i nieprzyjaciół przysparzają. W ślad za tem i protegowanie Basinów straciłoby wszelką rację, gdyż sam rozum kazałby Niemcom liczyć się raczej z Polakami, niż żywiołem, który nie zdołał przeprowadzić do parlamentu więcej niż trzech reprezentantów a w rzekomej swojej stolicy — jak wszystkie od roku 1861 wybory okazują — nie wyprowadził w pole nigdy więcej nad ośmdziesięciu wyborców!

Od półtrzecia roku obserwuję postępy, jakie myśl ta czyni w obozie wiernokonstytucyjnym i mogę zaręczyć, że aż do ostatnich czasów co raz

to głębsze zapuszczała korzenie i widoczne z dniem każdym robiła postępy. Nie ma może ani jednego trochę wybitniejszego polskiego posła, do którego by się nie zbliżano z oświadczeniami i zapytaniem, czy nie byłoby przecież jakiego sposobu porozumienia się z polską reprezentacją. „Niech Koło skinie — powiedział mi przy świadkach jeden z najtrzeźwiejszych, najwytrawniejszych polskich posłów — a z wyjątkiem niewielu zapamiętałców lub niepoprawnych biurokratów dziś jeszcze będziemy mieć ich wszystkich. a to nie ot tak sobie, lecz z podpisami na takim akcie, jakiego wymaga nasz honor i interes moralny i materialny“. Cóż, kiedy urzędowi reprezentanci Koła po za swoją „prawicą“ nie widzieli już świata i odpychając wszystko inne, zapieczętowali wreszcie swą czynność przeprowadzeniem aktu nienawiści! O, nie dziwnego, że tak zwane stronnictwo prawa chciało koniecznie przed zamknięciem sesji unieważnić za naszą pomocą górno-austriackie wybory! Czy chodziło mu tylko o mizerne trzy krzesła, które przy powtórnych wyborach może znówu mu się nie dostaną, a z których w najlepszym razie nie mogło na teraz zrobić użytku? Nie! jeśli wniesiono na jedno z ostatnich posiedzeń sprawę wcale nie nagłą, jeśli nie pozwolono jej odroczyć, lecz kazano nam na poczekaniu wybory unieważnić, to stało się to tym celem, aby wykopać przepaść między lewicą a nami, abyśmy spalili za sobą okręty i musieli bądź co bądź wlec się dalej za hr. Hohenwartem! Kto tego nie widzi, temu winszuję...

Posiane ziarno nienawiści zeszło bujnie i przez jedną noc strzeliło kwiatem, że aż dusza się radowała. Posypały się gradem wyrzuty, iawektywy i najzjadliwsze insynuacje odnoszące się do na-

szego charakteru narodowego, historii i legalności włóściańskich naszych wyborów; „falsch ist des Polen Herz“ rozbrzmiewało się po dziennikach. Ale — powie kto może — wszak te dzienniki przez „żydów“ redagowane! I cóż z tego, gdyby tak było, skoro nie tylko „żydki“ je czytają, lecz kilkomiljonowa ludność niemiecka czerpie z nich codzienny swój pokarm duchowy?

Jakby nie dość było tego, postarano się, aby ostatni jeszcze dzień sesji dopełnił miary goryczy i rozdrażnienia. Rząd wydał był rozporządzenie, dające w czeskich i morawskich sądach i urządach językowi czeskiemu mniej więcej takie same prawa, jakie ma język ruski w Galicji. Nic sprawiedliwszego nad to rozporządzenie, ale Niemiec z Czech posłowie, widząc w tem początek i zapowiedź dalszych dla Czechów koncesyj, wystąpili z krytyką, oparli się na subtelne rozróżnieniu wyrazów „Landessprache i landesübliche Sprache“ i zrobili rzecz przedmiotem interpelacji. Rząd odpowiedział, a gdy większość nie dopuściła dyskusji nad tą odpowiedzią, postawił Herbst samostatny w tej mierze wniosek przez stu pięćdziesięciu czterech posłów podpisany, którego pierwsze czytanie miało nastąpić w piątek 14. maja bezpośrednio przed zamknięciem kadencji. Ponieważ regulamin Rady państwa pozwala już przy pierwszym czytaniu na dyskusję, przeto spodziewano się powszechnie, że takowe nastąpi i że stronnictwa Izby wypowiedzą w niej co mają na sercu.

Jeżeli nad jakim przedmiotem dyskusja była dla Czechów wdzięczną i pożądaną, to nad tym. Mogli oni wykazać, ile przesady, ile nawet złej wiary jest w skargach podnoszonych przeciw rozporządzeniu, jak skromnym zawsze jeszcze jest zakres języka czeskiego i jak wielką język nie-

miecki i nadal zachowuje przewagę. Mogli byli wytknąć, że przeciwnicy podnoszą uboczne usterki rozporządzenia bez trudności usunąć się dające, aby tem uwagę od głównej rzeczy odwrócić; mogli byli schłostać tych, którzy uchwaliwszy sami w ustawach zasadniczych równouprawnienie języków, uciekają się teraz do rabulistycznych kruczków, aby uczynić je złudzeniem. „Oddano nam — mogli byli zawołać — jedynie słuszość i to nie całą, a wy na przymus, na ucisk się skarżycie, bo też zawsze czujecie się uciskanionymi, ilekroć wam nie pozwolą innych uciskać!”

Czuając to, klub czeski uchwalił prawie jednogłośnie, że nie sprzeciwia się dyskusji, lecz hr. Hohenwart jej nie chciał, a za nim poszła polska komisja pięciu. Usunęła więc prawica z porządku dziennego wniosek przez połowę prawie Izby podpisany i zamiast stłumić w zarodzie zarzewie agitacji i pozwolić Niemcom się wygadać, założyła im kłódkę na usta, poczem wśród niedającego się opisać rozdrażnienia, skończył się żywot parlamentu a natomiast nastąpiła era namiętnej, zajadłej agitacji.

Ze agitacja ta nie obaliła dotąd rządów hr. Taaffego, jak niegdyś rząd Belcredego a potem Hohenwarta, zdmuchnęła, w tem nie nasza zaprawdę zasługa. Chociaż obecny prezydent gabinetu cieszy się zawsze jeszcze zaufaniem korony, przewodnia myśl jego już z natury rzeczy z takimi musi się łączyć trudnościami, że nie należy jej narażać na próby i wywoływać bez absolutnej konieczności gwałtownych starć, zwłaszcza, że żyjemy w kraju niespodzianek i prób zawsze w połowie drogi porzucanych. Cała zresztą misja hr. Taaffego polega na uspokojeniu umysłów i bez takiego uspokojenia nie może, absolutnie nie może się powieść. Kto

więc budzi namiętności, kto daje stronnictwom powód a nawet pozór do agitacji, ten, choćby się mienił zwolennikiem misji, którą hr. Taaffe z rąk monarchy otrzymał, jest wprost jej nieprzyjacielem, gdyż udaremnia tę misję i toruje drogę.. komu? wielkiemu znakowi zapytania?

Nie dziwię się wcale, że na tę drogę popycha nas hr. Hohenwarth. w nadziei, iż weźmie spuściznę po dzisiejszym szefie gabinetu. Zkądżeż jednak nam Polakom popierać te dążenia? Zastanówmy się nad wstecznymi dążnościami stronnictwa prawa, rozważmy sposób, w jaki tak Hohenwartezy jak Czesi zapatrują się na kwestję narodowości i pomyślmy o następstwach tego zapatrywania dla naszego kraju, wyobraźmy sobie wreszcie do jakich walk dałby powód rząd Hohenwarta, jak małe miałyby szanse trwałości i co by po upadku jego nastąpiło, a nie będziemy, nie możemy życzyć sobie gabinetu czystej prawicy, powinniśmy owszem starać się, aby myśl pojednania, wyrozumiałości, wzajemnych ustępstw zapuściła wszędzie korzenie, aby po epoce walki nastąpiła tak w rządzie jak i w parlamencie epoka uspokojenia i dodatnich prac dla wspólnego dobra.

Powie kto może, że to utopja—ja nie jestem tego zdania. Stronnictwa zmierzyły się już tyle, razy i przekonały, że mogą się nawzajem osłabić lecz że zniszczyć żadne żadnego nie potrafi, ludność zresztą we wszystkich częściach monarchii jest już syta wiecznych jałowych walk i przekonana, iż koegzystencja różnych narać i historycznych indywidualności w jednym i tem samem państwie nie może się obejść bez wzajemnych koncesyj. W każdym razie, z większą lub mniejszą wiarą w powodzenie, należało Polakom zrobić to co Francuzi zrobili z republiką: *une loyale*

épreuve, takiej zaś „lojalnej próby“ nie zrobił ten, kto, jak my zamiast uśmierzać, dolewał oliwy do ognia...

Wziąwszy to wszystko na uwagę, niepodobna już z rozumowych przyczyn pochwalić polityki Koła polskiego; niepodobna jej także pochwalić ze względu na rezultaty. Rezultaty te równają się zeru: nieprzeprowadziliśmy niczego, owszem zostali pobici w najważniejszych dla kraju sprawach. Wyciągaliśmy dla innych kasztany z pieca; gdzie natomiast o nas chodziło, stało się prawie zawsze tak, że upadliśmy kilkoma głosami*). Cały zysk, że dano nam drugiego ministra - rodaka; dopóki jednak nie będzie wiadomem, czy minister ten wstąpił do gabinetu na podstawie jakiegoś a mianowicie jakiego programu, tudzież czy hr. Taaffe program ten przyjął i przeprowadzić się zobowiązał, wartość tej „koncesji“ będzie wcale wątpliwą.

Niech zresztą każdy uderzy się w piersi i zapyta sam siebie, czy jest nie już dumnym, ale czy jest zadowolonym z polskiej w ostatnich czasach polityki. Stosunki ze wszech miar sprzyjające — delegacja do rady państwa tak silna liczebnie jak nigdy i solidarna tym razem aż miło — sejm prawie czysto polski i rozporządzający potrzebną większością, aby uchwalić co mu się tylko

*) Jak tak zwane stronnictwo prawa pojmowało przy mierze swoje z nami, świadczy najlepiej los Hausnerowskiego wniosku o przeniesienie dyrekcyj galicyjskich kolei do Lwowa. Wniosek ten upadł po raz pierwszy w komisji dla tego, że p. Giovanelli przeciw niemu głosował a pp. Lienbacher i Klač przed samem głosowaniem wyszli. Gdy wniosek po raz drugi został odesłany do komisji, część zwolenników hr. Hohenwarta zaczęła nie przychodzić na posiedzenia, tak że polscy członkowie, widząc że znowu upadną, nie ośmielili się podnieść sprawy. Poseł Hausner żalił się na to — jak na ostatniem posiedzeniu Koła przytoczył — przed Hohenwartem jako przewodniczącym klubu, tenże mu jednak odpowiedział, że nie może nikogo zmusić do przybycia na posiedzenie!

podobna — i cóż? a nie—w radzie państwa szereg kompromitacyj. w sejmie apatja i prostracja do tego stopnia, że nie pomyślano nawet o prawodawczem ustaleniu zdobyczy dotąd tylko w drodze rozporządzeń osiągniętych, nie uchwalono choćby ustawy o radzie szkolnej, która jeśli kiedy, to teraz mogłaby była i powinna uzyskać sankcję. Ten upadek ducha, ten brak przewodniej myśli i inicjatywy, to wyzbycie się wszelkiej męskości jest przerażającym świadectwem, na jakie bagna nas wprowadzone....

Musząc teraz z obowiązku o własnej coś powiedzieć osobie, nie potrzebuję was, szanowni wyborcy, długo nią zajmować. Wiecie już, com uważał za szkodliwe a co za pożyteczne, gdzie upatrywał niebezpieczeństwa a gdzie dobro kraju, nie będziecie zatem pewnie wątpili, że przy każdej zdarzonej sposobności przemawiałem w Kole w tym samym duchu, radząc, przestrzegając, nie osoby mając na oku, lecz rzecz samą. Będąc oczywiście po staremu prawie zawsze w mniejszości, musiałem nieraz korzystać z prawa na mocy statutów mi przysługującego i uchylać się w izbie od takich głosowań, których żadną miarą z przekonaniami swemi nie mogłem pogodzić, a to nietylko w kwestjach politycznej natury, lecz i w niejednej sprawie do prawodawczego zakresu należącej. Tak n. p. nie głosowałem z Kołem, gdy to oświadczyło się przeciw takim dla towarzystw zarobkowych ulgom, jakie dla prosperowania tychże a tem samem dla ekonomicznego dźwignięcia miast są niezbędne; tak wstrzymałem się od głosowania za taksą wojskową, którą nawet w komisji izby panów podatkiem na kaleki (*Krüppelsteuer*) nazwano, ponieważ

podatek ten uważam za tak niesprawiedliwy, i zarówno rozumowej jak etycznej podstawy pozbawiony, że — gdy kiedyś ludność go uczuje — nie będzie może dzielniejszego środka agitacji przeciw tym, którzy lud tą taksą uszczęśliwili...

Samoistnych wniosków nie do polityki się odnoszących postawiłem w Kole trzy:

Tak mianowicie niebawem po rozpoczęciu sesji wręczyłem przewodniczącemu pierwszy wniosek dotyczący się tak zwanego obiektywnego postępowania w sprawach prasowych żądający, aby postępowanie to ograniczono do wypadków, w których zachodzi przeszkoda ścigania przed sądem przysięgłych autora lub innej za druk odpowiedzialnej osoby. Wniosek ten nie mógł jakoś przez kilka tygodni przyjść na porządek dzienny Koła, aż w skutek podobnego wniosku czeskiego posła Gregra, stał się bezprzedmiotowym.

Postawiłem dalej wniosek, aby Koło polskie starało się usilnie wymódlć u rządu przyznanie językowi polskiemu na Śląsku należących mu praw. Koło uchwaliło wstrzymać się w tej mierze od zbiorowego kroku i poruczyć rzecz przewodniczącemu, a urzędowy komunikat koła w dziennikach krajowych drukowany osłabił jeszcze tę uchwałę do tego stopnia, że stała się rzeczą pozbawioną wszelkiej doniosłości. Czyli i co następnie się stało, niewiadomo — to jedno wiemy, że rozporządzenie językowe dla Śląska dotąd nie wyszło i że urzędy śląskie odrzucają wbrew ustawom zasadniczym każde podanie w języku polskim wniesione.

Wreszcie przypomniałem w kole, że według konstytucji urzędnicy administracyjni są odpowiedzialnymi stronom za nieprawne i obowiązkowi swemu przeciwne czynności, że atoli postanowienie

to jest dla braku ustawy wykonawczej martwą od lat dwunastu literą, zaczęłem wnosić, aby przy dyskusji budżetowej wezwać rząd osobną rezolucją do przedłożenia projektu takiej ustawy. Wniosek ten w Kole upadł, gdyż zdaniem większości mogliby Niemcy z niego wydedukować, że skoro żądamy ochrony przeciw możliwym nadużyciom, urzędnicy nasi krajowcy — muszą dążyć się nadużyć!...

Pojmiecie łatwo szanowni Wyborcy, że po takich doświadczeniach nie miałem ochoty stawiać więcej wniosków na to, aby je odrzucano. Sondałem jeszcze nieraz teren to w tym to w owym kierunku, lecz widząc, że niepomysłny, dawałem za wygraną. Nie rwałem się także w Izbie do głosu, bo i bezemnie przez siedm miesięcy ciągle tam coś gadało, bo zresztą Koło nigdy nie wybrało mnie mowcą, prosić zaś o to po dawnych przykrych doświadczeniach nie uważałem za rzecz stosowną. Przemawiałem więc w Izbie raz jeden tylko, w sprawie, w której statut Koła pozwalał mi jako członkowi komisji karnej zabrać głos bez opowiadania się nikomu i skruszyłem kopję z pismem Liembacherem, który chciał, aby naczelnicy gmin w sprawach karnych mniejszej wagi pełnili funkcje publicznych oskarżycieli.

Komisja karna dała mi także jedyną dodatkową pracę. Wybrany referentem dla wniosku dr. Gregra, wypracowałem nowelę do procedury karnej dotyczącą się obiektywnego w sprawach prasowych postępowania. W noweli tej starałem się pogodzić nienaruszenie zakresu sądów przysięgłych z postulatami publicznego porządku i bezpieczeństwa i w ogóle sformułować rzecz tak, aby przyjęcie ustawy przez Izbę panów i sankcjonowanie jej przez koronę było możliwem. Gdy wniosłem

projekt przed komisją, zwolennicy obecnego stanu rzeczy z przewodniczącym Lieabacherem na czele sprzymierzyli się z tymi, którym mój projekt nie wydawał się dość liberalnym, tak, że większością jednego głosu uchwalono zmianę wprowadzisz drobną, lecz wymagającą przerobienia noweli. Przerobiłem ją, lecz przewodniczący ociągał się pomimo przypomnień z ponownem zwołaniem komisji, tak, że rzecz cała pozostała dotąd w stadium projektu.

Skromnym, jak widzicie i bardzo skromnym był zakres działania waszego poła, ale może nie tyle jego w tem wino, ile wasza szanowni wyborcy. Jeśliście chcieli, aby poseł, solidarnością z Kołem związany i od niego zawisły głosną odegrał rolę, należało wybrać człowieka idącego zawsze temi samemi co większość Koła drogami, lub gotowego na nie wstąpić, a nie kogoś, kto całe życie inne wyznawał zasady i innym hołdował ideałom. Nieraz już pytałem sam siebie, czy jest z tąd jaki pożytek, że w delegacji zasiadam i czy nie byłoby lepiej złożyć mandat poselski. Odpowiedział mi wtedy głos wewnętrzny, że opozycja, choć chwilowo bezwładna, ma przecież pewną wartość, że czasy mogą się zmienić, że wreszcie obowiązkiem moim jest nie zniechęcać się, lecz stać na posterunku, dopóki ci co mnie postavili, nie pomyślą o złuzowaniu. Rzeknijcie zatem słowo, szanowni Wyborcy, a ustąpię bez żalu, owszem z uczuciem pewnej ulgi. Szamotać się z niepedobieństwem, to męka... Może przecież dożyję jeszcze czasu, w którym nad mglistym odmętem rozpali się jakaś idea, w którym słowo będzie mogło być zarazem czynem a polityka już nie matką, martwożyty zastojem, lecz mistrzynią życia, ruchu, postępu...

W i e d e ń, w lipcu 1880.

Ludwik Wolski.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“
pod zarządem Leona Zubalewicza.



BIBLIOTEKA KÓRNICKA

17287